

dzie dzieła, tudzież jasność i ściśłość w wypowiedzeniu prawideł i tłumaczeniu zjawisk językowych: i pod tym jednakże względem dziełko p. S. bardzo chroma. Brak systematyczności jest ogólną wadą wszystkich prawie naszych niemieckich gramatyk. Zwykle to co należy do składni wykładają w nauce o odmianach wyrazów lub odwrotnie. Tak samo i tutaj. Tak np. tam, gdzie jest mowa o odmianie słów, niewiedomo z kąd się naraz bierze nauka o użyciu przedimków, co przecież należy do składni. Przeciwnie zaś o przyśłówku i wykrzykniku traktuje p. S. w składni, gdy to należy do leń części gramatyki. Autor podaje za przyczynę, że chciał. „by trudniejsze i ważniejsze części pierw wyłożyć.” Istotnie pedagogiczna zasada!

Jasność i ściśłość również nie wszędzie panują. Co znaczy np. prawidło, że „*przedimka pewnego używamy wtenczas, jeżeli chcemy cały gatunek lub rodzaj oznaczyć odnośnie do subjektu*” albo: „*Deklinacja mocna tak nazwana, że ona najpodatniejsza ze wszystkich, że da się najbardziej naginać i skłaniać?*” Toż samo można powiedzieć o całym podziale zdań od str. 127—130, gdzie np. takie są określenia: *Jeżeli orzeczeniem jest słowo nijakie, natenczas zdanie nazywa się podmiotowym*, lub: *Jeżeli zdanie dostaje jakiś przymiotnik, natenczas nazywa się zdaniem orzeczkowem* np. *Gott ist gerecht*. Takie określenia i takie podziały mącą tylko wyobrażenia a niczego nie uczą.

Nie chcemy zaprzeczać, że tu i owdzie znajdują się w gramatyce p. S. trafne niektóre prawidła i uwagi, ale w całości swojej uważana, nie jest wyższa od dotychczasowych naszych niemieckich gramatyk.

25 września.

Chm.

Prasa w Stanach Zjednoczonych.

(Z dziennika The Broadway).

Ulica Broadway w Nowym Yorku, nie mniej jest sławną jak Strand w Londynie lub Rivoli w Paryżu. Na niéjto w punkcie, w którym jest największy ruch ludności, gdzie zakłopotani przechodnie, omnibusy i różnego rodzaju pojazdy krzyżują się na wszystkie strony, gdzie ruch i ścisk panuje tak wielki, że dla zabezpieczenia bojaźliwych lub słabych przechodniów trzeba by chyba ułożyć żelazny most nad tym potokiem zaprzęgów; wznosi się gmach ogromny. Jestto redakcja dziennika *Herald*. Przepyszna budowa jest prawdziwie godnym uwagi pomnikiem, jaki wzniosła śmiała przedsiębiorczość amerykańska. Pałac *Herald'a*, z białego zbudowany marmuru, zdobny wszelkiego rodzaju drobiazgami włoskiej architektury, którego dach wznosi się nierównie wyżej od wszystkich sąsiednich budynków, jakkolwiek nie są bynajmniej karlego wzrostu,

przynęca wzrok każdego z przechodniów. Wiek jeszcze nie upłynął, jak w tém miejscu, gdzie dziś wznosi się gmach ten wspaniały, stał skromny i mały budynek Hampden-Hall, położony wtedy na końcu miasta, ulubiona schadzka politycznych agitatorów, w epoce gdy Stany Zjednoczone były tylko angielską kolonią. Tu trybunowie nabierali natchnienia i zgrzewali się na zgromadzeniach, a potem zwolowywali lud na okoliczne pola, dziś *Parkiem* zwane i wygłaszali gorące mowy, które pchały Amerykę na drogę rewolucyi. Tu to rozprawy wiodły do czynu; tu w gorący wieczór lipcowy 1776 roku, deklaracyą niepodległości Ameryki uroczystie czytano armii waszyngtońskiej, pod owe czasy zajmującej Nowy York.

Później nieco, mówców z Hampden-Hallu zastąpiły na tych samych stanowiskach znakomitości innego rodzaju. Tu sławny Barnum umieścił swoje muzeum, w którym potwory królestwa zwierzęcego walczyły o lepsze z potworami rodu ludzkiego, w celu wypróżnienia amerykańskich kieszeni. Tutaj syreny z wyspy Feejee, ziemnowodne z szerokim naskórkiem, kolosalne dzieci, żyjące szkielety, wielołokciowe Goliaty, i kilkocalowe zaledwie Pigmejczyki za swą potworność, nałożyli zbyt wygórowaną cenę ciekawości publicznej.

Pożar zniszczył to muzeum r. 1805. Kupiwszy grunt za siedm i pół milionów złotych właściciel nowojorskiego dziennika *Herald* wybudował pałac, jaki dziś widzimy, który go kosztował około półtrzecia miliona złotych, razem więc 10 milionów! Cóżby pomyślano w Europie o tych kosztach na wystawienie pierwszego domu dziennikarskiego? Wewnętrzne urządzenia bióra, albo raczej pałacu *Herald'a* odpowiadają zewnętrznej okazałości. Podziemne piętro, doskonale zaopatrzone w przewiewy świeżego powietrza prowadzi kolejno przez piaszczyste warstwy wyspy, na której zbudowano Nowy York, a sześćdziesiąt stóp po nad ziemią są w ruchu trzy wielkie parowe prasy, które każdego wieczora olbrzymie prawdziwie spełniają dzieło, wydając na widok publiczny 80 do 100 tysięcy egzemplarzy *Herald'a*. Na dole, obszerne bióra wychodzące na ulicę, któredy wchodzi i wychodzi publiczność, a publiczność ta jest liczna. Na każdym kroku spostrzegasz tu zbytek, przepych, kosztowne urządzenie, którychby się nie powstydził najbogatszy bankier; wszędzie artystyczne rzeźby na drzewie, marmurze i kryształowe stoliki, a posadzka wykładana w kolorowe tafelki z wyborowych kamieni. Tu znajdujemy dyrektora części przemysłowej, kassjera, komisarzów bióra ogłoszeń i bióra prenumeracyjnego, przełożonych nad sprzedażą numerów dziennika: to stanowi całą armię redakcyjną. Inne części budynku, jak gabinety redakcyjne, sale do rozmowy i biblioteki są wielkie i urządzone wytwornie, jak tego wymaga ich przeznaczenie.

Herald dziś tak wspaniale mieszkający, ujrzał po raz pierwszy światło dzienne, będzie temu lat trzydzieści i dwa, w piwnicy. Kulawy stółek stanowił wtedy całe siedzenie obecnego właściciela

tęgo pisma, a deska położona na dwóch baryłkach maki, była dlań bardzo wygodnym stołem, cały zaś kapitał, jakim rozporządzał wynosił 100 czy 200 dolarów, summa, która wystarczała na prowadzenie przedsięwzięcia mniej więcej przez tydzień. Właściciel ten był zarazem wydawcą i redaktorem. Pierwszy numer dziennika składał się z czterech stronic, każda o czterech szpaltach i obejmował 39 ogłoszeń, prawdopodobnie bezpłatnych. Przy końcu kwartału cztery stronnice powiększyły się o dwa cale wzdłuż i wszerz i szpalty również się rozszerzyły, a liczba ogłoszeń pomnożyła się w stosunku z 9 na 16. W 1840 roku, karty *Herald'a* wzdłuż i wszerz tak się znakomicie powiększyły, że już każda z nich obejmowała sześć szpalt. Dziś *New-York Herald* wychodzi w ogromnym formacie arkusza o sześćdziesięciu szpaltach, z których 38 zapelniają od góry do dołu same ogłoszenia. Rozchodzi się w 80 do 100 tysięcy egzemplarzach dziennie; coroczne honorarya wynoszą, jak mówią, okrągłą sumę 300,000 dolarów czyli około 3 milionów złotych.

Człowiek stojący na czele tej fortuny i główny właściciel nowojorskiego *Herald'a* jest rodem Szkot, nazywa się James Gordon Bennett. Wyglądał w Ameryce, w Halifax, w 1819 r. i wystąpił w charakterze podnauczyciela w szkole; ale wkrótce udał się do Bostonu gdzie pracował w drukarni jako korektor. 1822 r. przybył do Nowego-Yorku i tu z wyjątkiem kilku lat, które przepędził w Charlestonie, w Karolinie Południowej, mieszkał już ciągle od tej chwili, zostając w różnych obowiązkach przy pismach tygodniowych i codziennych. Gdy założył *New-York Herald*, stanął u szczytu sławy i bogactw. James-Gordon Bennett, jest silnie zbudowanym starcem, liczy lat 67, muskularny, istny typ tych Szkotów o których prawią, że są więcej z kości niż z mięsa; jest to człowiek niesłychaniej energii, który poświęca całą potęgę swego charakteru jedynę sprawę powodzenia swego dziennika. Ma bardzo piękny dom na Oxfordstreet w Nowym Yorku, elegancki pałacyk wiejski, pyszne pojazdy i t. d.; ale pośród tego zbytku i bogactw prowadzi życie nieledwie pustelnicze. Wedle zasady molierowego Skąpca *jé by żyć*, ale nie żyje by jeść.

Nieustraszony Bennett nie zna żadnych przeszkód. Skoro pozar pochłonął zabudowania *Herald'a*, w kilka miesięcy po ich wzniesieniu, bynajmniej nie oddawał się rozpacz, ale z prawdziwie amerykańską flegmą przypisał to złemu losowi: „*Herald* będzie na wsi jeszcze obszerniejszym, więcej zajmującym, lepiej redagowanym, świetnym i niepodległym jak nigdy.”

Wpływ *New-York Herald'a* jest tak wielki, że ogół uważa go, za trzymającego wodze władzy nad różnemi stronnictwami, kłócącemi się o zarząd kraju. Prezydent Lincoln tak miał wysokie wyobrażenie o wpływie tego dziennika, że chciał go wziąć na siebie, to jest kupić tanio, ofiarując Bennettowi ambasadorstwo we Francji, ale ten nie przyjął takiego zaszczytu.

Starość nie zmniejszyła czynności właściciela *New-York Herald'a*: jak dawniej tak i teraz bierze udział nie tylko w zarządzie ale i redakcyi swego pisma. Otoczony wielką liczbą sekretarzy,

przechadzając się krokiem prędkiem wzdłuż i w poprzek swego gabinetu, dyktuje im nowoyorskiskie nowiny, które mają wyjść nazajutrz. Styl w nich jest pogardliwy i szyderczy: jak i we wszystkich rozprawach choćby najpoważniejszych i najświętszych pióra Bennetta lub jego współpracowników. Jednym z głównych powodów przewagi *Herald'a* jest gwałtowność w napadach: kiedy raz schwyci swą ofiarę już nie puszcza jej, dopóki nie zgniebi.

W kwestyach politycznych i społecznych Bennett dotyka i porusza sprawy najżywotniejsze: stara się zawsze wyprzedzić opinię publiczną, a pióro jego zwraca się w tę stronę, jaką wskazuje ogólne usposobienie narodu.

Dla otrzymania wszelkiego rodzaju wiadomości ze wszystkich części świata hojnie szafuje ogromnemi summami. Podczas wojny domowej w Ameryce, *Herald* miał korespondentów w obu obozach, którzy na jedną tygodniowo korespondencyę wydawali zwykle około 20,000 złp. (2000 dolarów). Korespondentom swoim znajdującym się w kilku miejscach dano najzupełniejszą wolność rozporządzania pieniędzmi w tém przekonaniu, że pierwszy który poda jakąś wiadomość, nigdy zbyt drogo nie jest zapłaconym. Korespondent z Londynu na swą odpowiedzialność wysłał rozmowę króla pruskiego telegrafem transatlantyckim, za co trzeba było zapłacić tylko 6000 rs. Summę tę wypłacono w redakcyi bez najmniejszego zastrzeżenia lub skargi.

Dwaj główni współzawodnicy *New-York Herald'a* są: nowoyorska *Tribune* i *New-York Times*.

Codzienna ta Trybuna (*the Daily Tribune*) w porównaniu nie wielu ma prenumeratorów; dziennie bowiem co rano rozchodzi się 20 do 30 tysięcy egzemplarzów. Jednak tygodniowe jego wydanie liczy najmniej 200,000 przedpłacicieli, i jak zapewniają, właściciele tego dziennika, w dobrych latach mają do podziału między siebie 150,000 rs. zysku. Dyrektor jego Horacy Greeley, jest również przykładem, jak Amerykanin łamać się potrafi z przeciwnościami które na drodze życia spotyka i nareszcie dochodzi do sławy i majątku. Urodził się w r. 1811, w Amherst w New-Hampshire; umysł to z natury ciekawy, miłujący naukę, którą nabył młodzieńcem jeszcze, korzystając z każdej chwili wolnej od pracy około roli ojca, biédnego dzierżawcy. Dziesięcioletni Horacy Greeley przeczytał już wszystkie książki, jakich tylko mógł dostać w obrębie kilku mil w okolicy. Czytanie to odbywał przy płomieniu łuczycza sosnowego: innego światła nie znał. Czasami wymykał się do sąsiedniego miasta i tu uczył się drukarstwa ukradkiem; następnie jak stał udał się do New-Yorku, mając w kieszeni jedynie 13 rs. i 50 kop. (10 dolarów). Najprzód był prostym robotnikiem w drukarni, potem dyspozytorem tejże samej drukarni, a nareszcie właścicielem i redaktorem dziennika, założywszy w roku 1841 nowoyorską *Tribune*. Dziennik ten z zapałem i ze szczerością broni tego wszystkiego, co sam Greeley uważa za dobre i słuszne. Więcej niż każdy inny dziennik, rzuca światło na osobiste przekonania redaktora. Horacy Greeley jest razem pisarzem uczonym i fejletonistą; jako

romansopisarz angielski, nie mniej jest płodnym, jak czynnym. Pi sze dziennik, idzie do kilkunastu swych biur i tu miéwa długie mo- wy polityczne, powraca do Nowego-Yorku i wieczorem urządza od- czyt publiczny; wszystko to w dwunastu zaledwie godzinach. Pra- wdziwy proteusz pióra i słowa, publicysta, autor, professor, agita- tor polityczny, reformator socyalny, Greeley był raz nawet prawo- dawcą jako członek kongresu. Zdaje się że żadna, jakiegobądź ro- dzaju i choćby najcięższa praca nie wyczerpuje jego werwy i cier- pliwości.

Nowoyorski *Times* (Czas) założył w roku 1851 obecny jego właściciel, który również jak Greeley jest synem dzierżawcy. Dziennikarz ten, urodzony w roku 1820 w Lima w pobliżu New- Yorku, wychowywał się w kollegium Vermonta i tu uzupełnił swą edukacją, ucząc innych, jako pedagog. W 1846 r. osiadł w No- wym Yorku i tu dopóki nie założył *New-York Times* był reda- ktorem i poddyrektorem różnych pism. H. J. Raymond dzięki bogatym przyjaciółom, mógł zaraz z początku rozporządzać zna- cznymi kapitałami. Ta to okoliczność sprawiła, że wystąpienie jego miało charakter niebezpiecznej konkurencyi z poprzednika- mi, z którymi w istocie współzawodniczył taktem, talentem i ener- gią. Nowoyorski *Times* rozchodzi się w 40000 egzemplarzach i przynosi swemu właścicielowi rocznie czystego dochodu pięć kroć sto tysięcy franków? Raymond jest politykiem rozumującym bar- dzo trafnie, zapalonym mówcą ludowym. Jako człowiek i prezy- dent nowoyorskiej rady państwa i vice-rządca miasta, a także ja- ko reprezentant na kongresie związkowym, dał dowody swych zdolności administracyjnych i parlamentarnych. Jestto jeden je- szcze z tych przedsiębiorczych Amerykanów, których energiczną działalność wyrównywa ambicyi.

Język polityczny *Herald'a* zmienia się wedle chwilowego usposobienia i nastroju ogółu. *Tribune* i *Times* są organami stron- nictw: pierwsza popiera politykę radykalną, a druga zachowawczą stronnictwa republikańskiego. Wszystkie z mniejszem lub wię- kszem powodzeniem roztrząsają wszystko co zaszło, a każdy z nich liczy znakomitą liczbę czytelników, którym wszystko jedno, jakie idee polityczne lub społeczne popierają panowie redaktorzy.

World (Świat), jest dziennikiem porannym, który wychodzi w Nowym Yorku w formacie *Herald'a*, *Times'a* i *Tribune'y*. Jako organ stronnictwa demokratycznego wywiera on wpływ w stosun- ku do znaczenia samego stronnictwa, rozchodzi się w małej liczbie egzemplarzy w porównaniu z innemi gazetami porannemi. Cztery dzienniki: *Herald*, *Times*, *Tribune* i *World*, sprzedają się po cenie stałej sześciu kopiejek za egzemplarz: prócz tego jest wiele wy- dań tygodniowych i półtygodniowych, których roczna prenumerata wynosi 30 i 20 złp.

Z gazet które niegdyś zwano *wielkiemi dziennikami* istnieje jedna, licząca się do wydań porannych. Jest to *Dziennik handlowy*, ogromna gazeta w arkuszu, dwa razy większa od samego *Herald'a*. Wielu kupców i przemysłowców uważających ją za powagę han-

dlową i finansową, podtrzymują ją ogłoszeniami, za które sownie płacą. Wychodzą jeszcze dwa wielkie dzienniki wieczorne. Jednym jest *Evening Post* (Kuryer wieczorny), na czele którego stoi amerykański poeta Bryant, wspomagany przez swego teścia, Parke-Godwina znakomitego publicystę i historyka i Nordhoffa, którego uważają za najdoskonalszego dziennikarza. Nie można Nordhoffowi odmówić wielkiego rozumu politycznego i szerokich poglądów w kwestyach handlowych i finansowych. Przez dobrze redagowane artykuły treści społecznej, literackiej i artystycznej, *Evening Post* stał się prawie niezbędną potrzebą klas wykształconych ludności Stanów Zjednoczonych. Cyfra dochodów jest znaczna. Za pewne podają, że w ciągu jednego tylko roku, akcyonariusze podzielili się między sobą dwoma milionami złp. Innym wielkim dziennikiem wieczornym jest *Nowiniarz handlowy* (*The Commercial Advertiser*). Ten już był postradał dawny swój wpływ i obumarł, lecz podniósł go na nowo Thurlow Weed, szanowany i doświadczony dziennikarz, dobrze znany w Ameryce już jako agent, już jako przywódca stronnictwa. Wielkie te dzienniki wieczorne sprzedają się po 12 i 15 groszy numer.

Amerykanie z prawdziwą chęcią czytają dzienniki i w ogóle wszelkiego rodzaju pisma peryodyczne. W samym Nowym Yorku wychodzi 200 gazet, pomiędzy którymi liczy się 15 niemieckich, 2 włoskie, 2 francuskie i 1 hiszpańska. Z tej liczby 26 wychodzi codziennie, a inne raz lub dwa razy na tydzień. Do tych wszystkich publikacji dodać należy z jaką setkę przeglądów. Ta masa albo raczej ten potop pism peryodycznych może zaspokoić wszelkie potrzeby i wymagania. Wszystkie moralności, wszystkie religie, wszystkie polityki, wszystkie literatury, sztuki, nauki, wszystkie handle, a nawet wszystkie zachcianki i wszystkie przyjemności są tu wyobrażone. Prassa amerykańska liczy 7 dzienników poświęconych modzie, i jeden *Dziennik wina*, jest także dziennik kawiarniany. Dentyści, fabrykanci powozów, krawcy, szewcy i fotografowie mają specjalne organa.

Wielka Księga Nowyorkska (*The New-York Great-Book*) stoi na czele tygodników. Rozchodzi się w 350 tysięcy egzemplarzy. Pojedynczy numer kosztuje 15 gr. Właściciel jego Bonner zrazu był prostym robotnikiem typograficznym w Connecticut; dziś ma rok rocznie przeszło półtora miliona dochodu. Dzięki temu, iż dziennik jego jest tak ogólnie znanym i prenumerowanym, nie raz mu już zapłacono za jakie ważne ogłoszenie do 9000 rs. Trzeba mu przytém oddać tę sprawiedliwość, że potrafił zespolic siły najznakomitszych pisarzy, a jak hojnie płaci, dowodem tego, iż Ewerett b. minister amerykański i angielski poświęcił swe uczone pióro i znakomite imię na usługi *Wielkiej Księgi*. Karol Dickens otrzymał 50000 złp. za prostą powiastkę w dwóch czy trzech szpaltach. Henryk Ward Beecher (czytaj Bicz), brat pani Stowe której winniśmy *Chatę wuja Toma*, otrzymał 250 tysięcy złp. za romans *Norwood*, który się teraz właśnie drukuje. Bonner, posiada w swym finansowym arsenale argumenta, które tak

trafiły do przekonania wielu poważnych dyrektorów kolegiów Stanów Zjednoczonych, że porzucili swe uczone gabinety i stali się *ex professo* współpracownikami *The Great-Book*. Co więcej, tak jest widać ufnym w ten środek, że obiecuje iż prezydent i wiceprezydent, b. b. prezydenci i b. b. wiceprezydenci rzeczypospolitej amerykańskiej, i Bóg wie ilu ministrów i mężów stanu nazwiska będą wypisane na liście współpracowników jego dziennika. W programie na przyszłość jaki świeżo ogłosił oznajmia, że niestrudzony Greeley w *The Great-Book* wyda poufne swe zwierzenia p. t. *Autobiografia szczęśliwego człowieka*.

Jednak trzeba przyznać, że te tak wysokiego znaczenia osoby nie są najulubieńszymi pisarzami *The Great-Book*. Sylwanus Cobb, był długo i jest jeszcze głównym dostarczycielem romanśów, którymi zachwyca się ta sama publika, co zasypia nad utworami dyrektorów kolegiów a nawet prezydentów rzeczypospolitej. Karol Dickens nigdy nie napisał tak lichych powiastki jak ta, za którą mu Bonner zapłacił 50 tysięcy złp. Beecher, jako romanśopisarz nigdy nie zrówna swój siostrze.

Zwykła literatura *Wielkiej księgi* bynajmniej nie należy do tej literatury niebezpiecznej, co wywołuje na licach pocziwego człowieka rumieniec wstydu i podkopuje dobre obyczaje. Te tak chciwie czytane powieści i nowelle, nie są w niczem podobne do tych niemoralnych, przesadzonych brudnych romanśów, jakeimi zarzuconą jest obecnie Francya, a które niekiedy powtarzają się i w naszych czasopismach.

Pismem illustrowanem które pod względem świetnego przyjęcia od publiczności idzie tuż po *Wielkiej Księdze*, jest Tydzień (*The Week*) Harpera. Egzemplarz tego pisma które rocznie przynosi swym właścicielom około ośm kroć sto tysięcy złp. kosztuje 25 gr. Właściciele *Tygodnia* założyli nowe czasopismo *Bazar*, na wzór Tygodnika poświęconego modom, a wychodzącego pod tymże tytułem w Berlinie, i to rozchodzi się w 250 tysiącach egzemplarzów.

The Month (Miesiąc) też Harpera jest pismem miesięcznem, jednym z najlepszych, jakie w języku angielskim wychodzą. Kierunek i dążność katolicka. Pojedynczy zeszyt kosztuje około 3 złp. Prenumeratorów ma przeszło 25 tysięcy.

Wszystkie te dzienniki i czasopisma o którychśmy wspomnieli i wiele innych jeszcze, których nazwisk nie wymieniamy rozchodzą się na całej przestrzeni Stanów Zjednoczonych. Spotkać się z nimi można na każdym rogu ulicy i na wszystkich placach publicznych, przy wejściu do świątyń Pańskich i teatrów, na stopniach omnibusów; wciskają się na foksal i na każdą stacyą kolei żelaznej, słowem krążą wszędzie od jednego do drugiego krańców Stanów-Zjednoczonych, a mieszkańcy tamtejsi tak się zrośli i przyzwyczaili do tych gazet, przeglądów, iż gdyby cudem jakim zniknęły, sądziłoby że pozbawiono ich najpiękniejszych potrzeb życia ludzkiego.

Władysław Miłkowski.

